Nr. 297 We Lwowie Wtorek dnia 26 Października 1897 r. Rok XXX.

Przedpłata wynosi we Lwowie:

Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.

Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.

Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki liczba 6 i 7. — Telefon Nr. 171.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Numer „Dziennika Polskiego” kosztuje 6 ct.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Wydawcy i właściciele: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.

Nasz antysemityzm.

Lwów 25. października.

III.

Nie lepiej dzieje się u nas po miastach i miasteczkach. Nasza tak zwana inteligencja miejska we wszystkie niemal prowianty zaopatruje się u żydów. Dla czego? Bo żyjąc nad stan, zmuszona jest w końcu pożyczać od żyda, a przytem nasi polscy kupcy sami się do tego po trosze przyczyniają. Pragnąc się czem prędzej wzbogacić, nakładają na swe towary większe ceny, niż żydzi. Jest to wpływ żydowskiej gorączki złota, która i nam się już udziela z tą tylko różnicą, że gdy żydzi w pieniądzach widzą cel, my widzimy w nich środek. Podczas więc, gdy oni kapitały gromadzą, my je wydajemy, tak, że złoto przesuwa się tylko przez nasze ręce i przechodzi do żydów, aby w ich kieszeniach na wieki dla nas utonąć.

Oto dlaczego położenie nasze jest tak opłakane. Dodajmy do tego olbrzymie podatki, które nas rujnują, a będziemy mieli pojęcie, dla czego antysemityzm u nas jest pracą syzyfową.

Autonomja, która pochłania miljony, nic nam nie przynosi, skoro z urny wyborczej wychodzą burmistrze i wiceburmistrze — żydzi, a rady powiatowe po większej części nic nie robią dla kraju. A nawet burmistrz katolik, cóż zrobi u nas przy dzisiejszych stosunkach? Wszak on jest manekinem w ręku żydów. Autonomja bez władzy do niczego nie prowadzi. Jest to takie same dobrodziejstwo i taki sam postęp, jak owo równouprawnienie żydów z katolikami.

Burmistrz obok starosty, to tylko podwojenie kosztów i wydatków dla kraju przy małej tylko bardzo korzyści samorządu. Dowodem tego niech będzie fakt następujący. Mieszkam w wyjątkowem wprost mieście wschodniej Galicji, bo niema tu ani żyda-burmistrza, ani żyda-dyrektora kasy, ani nawet żyda powiatowego lekarza i fizyka, jak się to zazwyczaj u nas praktykuje...

Zdawałoby się więc, że powinniśmy doznawać słodkich owoców tej szczęśliwej katolickiej gospodarki. Nic z tego! Drożyzna panuje u nas większa, niż gdziekolwiek, bo pełno tu jest żydów, których trzeba żywić naszym kosztem.

Co ranek gromady żydów wychodzą o sto kroków za miasto i formalne urządzają obławy na zdążających do miasta z prowiantami wieśniaków. Wykupują oni to wszystko, tak, że my, katolicy, musimy dopiero od nich z drugiej ręki odkupować gorsze produkta, bo lepsze żydzi naturalnie dla siebie zatrzymują. Za drogie pieniądze dostajemy więc kiepski i sfałszowany już przez żydów towar.

Kilka lat temu katolicy tutejsi przez usta swego proboszcza prosili burmistrza, aby ukrócił ten wyzysk i zabronił żydom wykupywać towary od chłopów.

Burmistrz usłuchał i zakaz wydał. Przez trzy dni było dobrze — mieliśmy tanie masło i prawdziwe mleko, każdy dziękował Bogu i lepiej zaczął wyglądać. Ale krótką była nasza radość. Trzeciego dnia tysiące obdartych żydowskich familij obległo magistrat i pytają o burmistrza.

Gdy się im ukazał, żydzi wołać poczęli unisono:

— Ny, panie burmistrz, my giniemy z głodu! To był jedyny nasz zarobek! Czy my nie jesteśmy takimi samymi obywatelami kraju, jak inni? Czy my nie mamy „prawa do życia?“ *(sic!)* Czy mamy umrzeć z głodu?...

I co powiesz, czytelniku, burmistrz musiał ustąpić i dla spokoju żydów musiał poświęcić nas biednych katolików! Odtąd znów mamy drogie masło i fałszywe mleko, ale za to tysiące familij ma z czego żyć. *(sic!)* Takie są nasze stosunki!... Zmuszeni jesteśmy niejako utrzymywać i żywić tych, którzy stopniowo niszczą nas i wysysają jak pająki!... W teorji słyszymy ciągle o tem, że walka z żydami górować powinna nad wszelkiemi innemi kwestjami, bo inaczej czeka nas barbarja, pogaństwo, nędza i niedola, — a w praktyce popieramy żydów i wychowywamy sami tę żmiję, o której wiemy, że z czasem ma ona nas zniszczyć i wytępić. Oto nasze położenie!...

Indolencja i niezaradność naszego ludu jest tak straszną, że do tak drobnego nawet przemysłu, jakim jest dostawa śmietanki lub masła do mleczarni lub cukierni, jest on formalnie niezdolnym! Muszą więc chłopi znosić mleko do żyda, a dopiero żyd potrafi się zająć zebraniem śmietanki i zrobieniem masła na większą skalę!... O niepojęta głupoto i indolencjo ludu! ty sama oddajesz nas w ręce żydów i skazujesz na zżydzenie i upadek!... O większy jeszcze idjotyzmie naszych szkół ludowych i naszych seminarjów nauczycielskich, gdzie uczą chemji i anatomji, a nie prawie nic mówią o tem, jak wyrwać lud z niewoli żydowskiej i uczynić zeń ludzi samodzielnych i pracowitych!... Co za gromy spadną kiedyś na tych, od których zależy kierunek i rozwój tych instytucyj?

O, największą wreszcie winą narodu, który, nie mając swego przemysłu i handlu, od żyda dopiero pożyczać musisz tych rąk do pracy! — jaką boleść sprawiasz prawdziwym antysemitom i obrońcom ludu!...

W Anglji, we Francji, nawet już na Szląsku, kto nie ma pieniędzy, uważa za swój obowiązek zbierać je i gromadzić, a że najzyskowniejszem zajęciem jest zawsze drobny handel i przemysł, więc każdy chętnie ima się tam tych zajęć i wkrótce dochodzi do mienia. Ten znów, co ma miljony, nie spoczywa tam na laurach, nie żyje z grosza, ale za obowiązek sobie poczytuje obracać tym kapitałem, tak żeby drugi przy nim mógł coś zarobić.

U nas wręcz przeciwnie. Biedak nie stara się u nas pracą i oszczędnością dorobić się majątku, tylko.. ogląda się na to, co Bóg da i co mu z łaski kto ofiaruje!...

Bogacz znów zawiązuje worek lub lokuje swoje kapitały w bankach zagranicznych, bo — jak mówi — dla siebie ma dosyć i woli siedzieć w Nicei lub Paryżu, niż zakładać fabryki i dźwigać przemysł i handel krajowy!...

Ciekawi ludzie, ciekawe stosunki!... Nie darmo za granicą Galicję wytykają palcem jako „*curiosum*“.

Największe i najpewniejsze źródło majątku — drobny handel i przemysł domowy — skwapliwie omijamy i uporczywie zaniedbujemy, pozostawiając je naszym największym wrogom — żydom, a potem narzekamy na zżydzenie Galicji.

Czyż nie jest to „*curiosum?*“...

Prawdzic.

Interview z ks. Imeretyńskim.

Warszawski współpracownik *Piet. Wied.*, ukrywający się pod pseudonimem „Amalfitano.“ w jednym ze swych artykułów wprowadza czytelnika do szarego gabinetu, w którym przy biurku siedzi: „znakomity książę rosyjski i jenerał. Głowa jego przypomina Barclaya de Tolli, szaro-niebieskie oczy mają wyraz zadumania, a delikatny zakrój ust maluje wrodzoną dobroć charakteru, serdeczne ciepło, umiejętność poznawania ludzi, przenikania ich myśli.“ Namalowawszy ten portret ks. Imeretyńskiego, autor pezpośrednio przechodzi do słów księcia: „W niektórych organach prasy petersburskiej i moskiewskiej — mówił książę — a zwłaszcza moskiewskiej, zaczęto niepokoić się o administrację tutejszą daleko więcej, aniżeli sama administracja niepokoi się o siebie, a także w kwestjach, pod względem których administracja już zupełnie się nie niepokoi Gdy przypadkiem jaki kupiec Polak wywiesi szyld z napisem tylko polskim, zamiast dwóch obowiązkowych: rosyjskiego i polskiego, gazety te mówią: „Baczność, panowie, to znaczy, że Polacy chcą wskrzesić Polskę.“ Gdy ksiądz gdzie weźmie się do nauczania dzieci śpiewu — już ojczyzna, znaczy się, w niebezpieczeństwie i nie dziś to jutro rzeczpospolita wstanie z grobu!“

Gazety te więc starają się przerazić społeczeństwo sztucznymi strachami i dają fałszywy obraz nietylko sytuacji spraw rosyjskich w kraju, ale i kierunku rosyjskiej misji politycznej i działalności.

„Nikt z Rosjan — mówił książę — choć trochę znających kraj, nie myśli o niebezpieczeństwie wskrzeszenia Polski, gdyż myśleć o tem, znaczyłoby to samo, co myśleć o pustem miejscu. Wskrzesić Polski niepodobna. Jest to kwestja skończona i trzeba nie rachować się z nią, ale brać ją jako aksjomat, jako punkt wyjścia dla dalszych działań naszych w tym kraju. Wskrzesić Polski niepodobna, a zatem **była Polska już nie jest Polską, ale Rosją, a Rosja w swym zarządzie powinna kierować się zasadami ogólno-rosyjskiemi, instytucjami, prawodawstwem.**

„Nikt naturalnie nie zaprzecza, że wśród Polaków znajduje się wielu marzycieli, wyobrażających sobie, że istotnie „jeszcze Polska nie zginęła“, zdolnych i do spisków i do manifestacyj itd. Ale marzyciele polityczni — to co innego. Marzyciele polityczni, istnieją w każdem społeczeństwie. Burzą się przeciwko istniejącemu porządkowi i są odpowiedzialni za to przed władzą legalną. Ale czy jest odpowiedzialne za nich społeczeństwo? Naturalnie — nie. Na to, żeby społeczeństwo wzięło na siebie odpowiedzialność za swoich marzycieli politycznych, trzeba, żeby, jeżeli nie całe, to przynajmniej w znacznej części, podzielało ich poglądy. popierało ich zgubną działalność. Czy w gubernjach polskich istnieje nastrój społeczny, sympatyzujący z krzykami ultrapatrjotów, propagatorów Polski niezależnej? Ośmielam się stanowczo odpowiedzieć: takiego nastroju nie ma. Masa narodu polskiego tak samo mało myśli o możności wskrzeszenia ojczyzny, jak i my. Tym sposobem groźby powstania (?) są sprawą polskiej prasy zagranicznej (?)

O administracji, opartej na terrorze wojennym, książę wyraził się w sposób następujący: „Wiemy, że system podobny praktykował się w kraju i długo i usilnie. Wiemy także, że nie sprawił nic dobrego, żadnych owoców nie przyniósł, a jeżeli je przyniósł, to prawie wszystkie zgniłe. Przy takim systemie żyliśmy w Polsce, po upływie trzydziestu lat od powstania, w sposób na pół wojenny, jak gdyby wczoraj jeszcze po lasach grzmiały armaty, chodzili kosynierzy, jak gdyby na ulicach miasta wykonywali swą robotę żandarmi wieszający lub sztyletnicy. Oprócz zaostrzenia nienawiści względem Rosjan, system ten nic innego w Polakach nie budził, a oprócz bezużytecznej straty sił administracyjnych na drobnostki, nie dał nic i Rosjanom. Przedstawiciele tego systemu chwalili się i chwalą, jakoby swą grozą kraj uspokoili. Nie, kraj uspokoili nie oni, lecz trzydziestoletni bieg historji: on to dowiódł Polakom konieczności ich związku z Rosją, ekonomiczną ich żywicielką, która jednak w razie jakiegoś ruchu nieprzyjaznego z polskiej strony, zmienia się w rękę karzącą, szybką, nielitościwą, niezmordowaną i niezwyciężoną.

Posłuszeństwo Polaków względem Rosji znaczy to samo dla Polaków, co postęp cywilizacyjny, rozwój przemysłu, handlu, uspołecznienia, sztuk i nauk. Powstanie przeciwko Rosji — to zguba społeczeństwa polskiego, ruina burżoazji, ostateczny upadek arystokracji polskiej. Trzecia część rosyjskich sił bojowych stoi w kraju nadwiślańskim zawsze gotowa do boju. Dość kilku depesz telegraficznych, aby siła ta zwaliła się na Polskę, jak lawina i starła bunt. Zresztą, gdzie może być teraz zmobilizowane powstanie, któreby było w stanie już nie walczyć, ale okazać choć mały opór naszym kadrom? Przecież mamy rok 1897, a nie 1863. Teraz i do klasycznego lasu trudno uciekać, bo przestrzeń leśna zmniejszyła się w Polsce, a na miejscu lasów wyrosły fabryki, których gospodarze najwięcej są zainteresowani w tem, aby buntów **nie było; każde zaburzenie polityczne sprowadzi ich ruinę.**“

Książę jest stanowczym stronnikiem innego systemu, mianowicie wypływającego z przekonania, że kraj jest uspokojony, i że nie walczyć z nim, ale rządzić nim trzeba.

„Polacy w te dni pamiętne (pobytu cara w Warszawie), dowiedli, że są plemieniem nietylko kulturnem samo przez się w odwiecznej swej odrębności od kultury rosyjskiej, ale też, że dorośli do zrozumienia ogólno rosyjskiej obywatelskości i robią szybkie kroki, aby wejść w jej tory... Rządzić krajem uspokojonym, znaczy przedewszystkiem zrównać go z resztą Rosji, a jego ludność, kierowaną dotychczas wyjątkowem prawodawstwem, obciążonem do tego mnóstwem przypadkowych i specjalnych rozporządzeń administracyjnych, zbliżyć w prawach do obywateli innych miejscowości carstwa. Jak wiadomo, pierwszy krok do tego Polacy spodziewają się widzieć w upragnionem dla nich wprowadzeniu instytucyj ziemskich i miejskich. Czy uzasadnione są te nadzieje? Czy możliwem jest szybkie wprowadzenie do gubernij polskich instytucyj samorządu społecznego? Mimo całej mojej przychylności dla tej reformy, obawiam się, że nie. Główną tego przyczyną jest: oddzielenie się w kraju warstw społecznych rosyjskich i polskich, żywiołów wybieralnych i wybierających“.

Rozmowę powyższą podajemy ze wszystkiemi zastrzeżeniami i na odpowiedzialność *Pieterburskich Wiedomosti.*

KORESPONDENCJE.

Białogród 18. października.

(Proces przeciw hajdukom.)

Donoszę wam dalsze szczegóły z przebiegu procesu przeciw hajdukom. Przesłuchania świadków rozpoczęły się opowiadaniem chłopa serbskiego Mirosawljewicza, który zdradził miejsce noclegu harambaszy Brkicza i jego towarzysza Milinkowicza.

Mirosawljewicz przybył konno o północy do miasteczka Gucz, gdzie władze zaalarmował, za co też otrzymał nagrodę przeznaczoną za głowę Brkicza.

Przy przesłuchaniu okazywał świadek niepokój i zamięszanie; większa część audytorjum przypatrywała mu się z nietajoną nienawiścią i pogardą. Na wezwanie prezydenta, aby opowiadał wszystko, co wie, oświadcza, że już wszystko powiedział, że niesłusznie postąpił sobie prezydent sądu, iż go tutaj zawezwał.

Prezydent komunikuje, że hajducy ojca świadka zabili, na to powiada świadek, że i jego zabiją, nie Brkicz, to inni. Ponieważ trwoga opanowała świadka do tego stopnia, że przytomność umysłu stracił, musiał go prezydent od dalszego przesłuchania uwolnić.

Przesłuchiwani żandarmi opowiadają w sposób malowniczy, jak herszta hajduków za pomocą podstępu schwycili, przyczem z opowiadania wynika, że Brkicz, przy ujęciu bynajmniej junakiem się nie pokazał. Żandarmi przed domem czekali do rana. Spokój, jaki w domu panował, naprowadził ich na myśl, że hajduka tam niema. Rano o 4. godzinie otwarły się nagle drzwi i z sieni wyleciała na ulicę żona gospodarza, którą Brkicz w sposób niezbyt łagodny dla sprzeczki jakiejś z własnego domu wyrzucił. Wówczas poczęli się żandarmi pomału zbliżać do chaty, ich komendant Ulajko zaczął tak głośno rozkazywać, a na innych musiało to robić wrażenie, jakby nie dziesięciu żandarmów, ale *cała* kompanja na miejscu była. Nareszcie odezwał się w domu głos: „Dziękuję Bogu, żem dotąd nie był ubrany. Teraz wam pokażę co to hajduk Brkicz“. W tej chwili okazał się na oknie cień. Żandarm Vojowicz dał ognia. Strzał zranił Brkicza w czoło, wówczas zraniony stracił odwagę i z domu zawołano: nie strzelajcie, bo się poddamy. Na żądanie komendanta żandarmów wydał hajduk broń, poczem związano. Znaleziono przy nim medal wojskowy, który prawdopodobnie komuś odebrał i pieczęć z napisem: „W zielonym lesie — Milan Brkicz — car gór“.

Tajsicza, obwinionego o współudział w mor

(35)

NA OŚLEP.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA
w trzech częściach

Antoniego Werytusa.

(Ciąg dalszy).

Dopiero gdy cierpliwość dumnej dziewczyny została wyczerpaną, odcięła mu się raz zwróceniem uwagi, że Endymion nie miał nosa garbatego.

Wychodząc po tym ostatnim epizodzie od Milchritterów i dążąc do domu, w dziewczęciu wszystko wrzało.

Rada by nigdy już tam nie wrócić, nie przechodzić tortur zwanych lekcjami, nie widzieć tego śmiesznego, cynicznego, wstrętnego przepychu żydowskiego, a przedewszystkiem nie spotykać zabawnego adoratora o nosie garbatym, lecz... żal jej było stracić zarobku.

Trzydzieści rubli na miesiąc, toć to dla wszystkich obiad codzienny, a innej lekcji, wie o tem z doświadczenia, teraz nie znajdzie.

— Trzeba więc jeszcze cierpieć, trzeba do czasu póki się co innego nie trafi — myślało dziewczę, spiesząc na Hożą, do ukochanej mateczki i układając już na schodach twarz do uśmiechu.

Pani Dobrowiejska ani przeczuwała, na jakie przykrości Wanda jest narażoną i cieszyła się, że córka ma wciąż wyborny humor i pracą nic a nic się nie nuży.

Tatuńcio nieboszczyk, gdyby powstał z grobu, gdyby zobaczył, co się dzieje z jego „królową“, byłby z żałości wielkiej drugi raz umarł.

— Zgadnij, Wandziu, kto tu był dzisiaj? — rzekła matka do witającej ją córki.

— Pewno kto z Grzelca?

— No, to nie nowina, bo przecież przyjaciele często nas odwiedzają.

— Więc któż?

— Twoje koleżanki, kuzynki tego Proniewicza...

— Panny de Viliers?

— One, we własnych osobach...

— I czegóż chciały? — zapytała Wanda marszcząc brew, bo z owemi eks-koleżankami wszelkie stosunki, nietylko z powodu Proniewicza, ale i z powodu poznania ich wartości moralnej, postanowiła raz na zawsze zerwać.

— Właściwie nic, tylko oświadczały się ze strasznemi czułościami dla ciebie. Zresztą przyjdą tu jutro o trzeciej, bo koniecznie chcą się z tobą rozmówić.

— I nic więcej nie mówiły?

— Owszem, wspomniały o Romanie: starały się jeżeli nie usprawiedliwiać, to przynajmniej złagodzić jego brzydkie postępowanie, napomykając, że pan Proniewicz, uważa się za naszego dłużnika, i chce...

— O tym długu, najdroższa mateczko, ani słowa. Wszak już raz prosiłam? A... teraz zaczynam rozumieć bytność panien de Viliers... Życie uczy mnie kombinowania różnych rzeczy, o jakich jeszcze przed pół rokiem nie miałam pojęcia. Czy mama wie, że ten Proniewicz stara się o rękę tej biednej Izy Goldflussównej?

— Cóż więc to ma za związek z bytnością Milci i Helci?

— O i wielki! Pan Proniewicz dowiedział się, że ja jestem nauczycielką u Milchritterów, a Iza to przecie siostrzenica pani Bernardowej, zresztą moja także koleżanka z owych lekcyj literatury, kiedy to ów pan Proniewicz... Co tu zresztą długo mówić? Obawiając się, abym przypadkiem pana Proniewicza we właściwem świetle nie przedstawiła, chcą temu zapobiedz, on i córeczki jego faktora, tego pana „za pozwoleniem“ — dokończyła złośliwie Wanda.

— Przecieżbyś ty Wandziuniu nie chciała się do niczego mięszać?

— Ależ naturalnie, mateczko... Po sobie mnie sądząc, myślą, że ja... ha... ha... ha... A niech się pan Proniewicz żeni, z kim chce. Ten człowiek dla mnie przestał istnieć zupełnie. Z pannami de Viliers nie myślę się widzieć i dobrze, że wiem o zapowiedzianej wizycie; jutro wcześniej z domu wyjdę. Uspokój je mateczko, gdy będą mówiły o panu Proniewiczu...

Nie myliła się Wanda co do celu odwiedzin panien Emilji i Heleny.

Nazajutrz, nie zastawszy po raz drugi eks-koleżanki, wystąpiły przed panią Dobrowiejską z wiadomością, że Roman stara się o Goldflussównę.

Gadatliwe panny, jedna przez drugą usiłowały przekonać, że Proniewicz nie mógł przecież względem Wandy inaczej postąpić.

— On, proszę pani, chcąc tworzyć, przy swoim talencie literackim, musi mieć byt zapewniony... — zaczęła Milcia.

— Jakiż byłby teraz los Wandzi, gdyby została żoną Romana? — wtrąciła Helcia.

— Roman bardzo cierpiał nad tem, co się stało.

— Nawet odchorował...

— Bo Wandzię prawdziwie kochał.

— I dziś ją jeszcze kocha.

— Dość tego, moje panny — rzekła pani Dobrowiejska, zazwyczaj grzeczna, ale już zniecierpliwiona tem trajkotaniem, wysławiającem nicponia. — Nas pan Proniewicz wcale nie obchodzi i nie rozumiem przyczyny tak gorącej, pełnej sofizmatów obrony...

Teraz znów się zaczął drugi akt trajkotania naprzemian obu siostrzyczek, uważających się za osoby nader wymowne.

— Romanowi może Wandzia zaszkodzić u Izi...

— Niezgodne z istotnemi pobudkami przedstawienie powodu zerwania małżeństwa przyczyniłoby się...

— Do obudzenia niesłusznych podejrzeń...

— Do przedstawienia Romana w niekorzystnem świetle...

— Ależ pozwól, Helciu, niech ja to powiem...

— Moja Milciu, wiesz przecie, że ja lepiej pani Dobrowiejskiej wszystko wyłuszczę...

Siostrzyczki byłyby się jeszcze długo sprzeczały, ale pani Dobrowiejska, kładąc tamę potokowi wymowy panien de Viliers, tak zakończyła ich poselstwo i wizytę:

— Niech panie uspokoją swego kuzynka; moja córka przed nikim — dodała z naciskiem — o panu Proniewiczu nie wspomina, i prosimy bardzo, aby nas zechciał raz na zawsze wypuścić z pamięci. Czy się żeni, czy nie żeni, i z kim, — nic to nas nie obchodzi, ani wiedzieć, ani słyszeć o tem nie potrzebujemy...

IV.

Piękny Romcio, po swoim „krachu małżeńskim“, jak cynicznie nazywał zerwanie z Wandą, znalazł się początkowo w opałach finansowych.

Różne Cukry, Goldmany, Winterglassy, Kugelmany, słowem cała rzesza lichwiarska, poczęła nań gwałtownie naciskać.

Wprawdzie nic Proniewiczowi zabrać nie mogli, boć wiadomo, że goły rozboju się nie lęka, ale tacy lichwiarze mieli tysiące sposobów szykanowania i dokuczania na każdym kroku.

Proniewicz, zamieszkawszy w hotelu, odbierał prawie codziennie wizytę którego z tych panów.

Taki naprzykład Cukier wchodził do numeru i nie racząc nawet zdjąć kapelusza, powiadał:

— No, i cóż będzie?

— Nic nie będzie, dopóki nie dostanę pieniędzy — filozoficznie odpowiada piękny Romcio.

— Daj pan przynajmniej procent!

— Kiedy nic nie mam...

— To za moją fatygę rubelka.

— Po coś się pan fatygował?

— Więc nic nie dostanę?

— Nic — stanowczo odpowiadał Proniewicz.

— A ja stąd nie wyjdę, ja pana skompromituję — gardłował Cukier, który wbrew swemu nazwisku, w pewnym okolicznościach przestawał być słodkim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

derstwie nauczyciela Baskowicza, uwolniono dla braku dowodów, ale mimo to pozostaje nadal w więzieniu śledczem, bo może być, że dalsze przesłuchania świadków winę jego wykażą.

Niemniej interesujące były *plaidoyers* przewodniczącego i obrońcy na temat zdarzających się rozbojów w Serbji. Według obliczeń rządowych w ostatnich czterech latach wyrządzili hajducy krajowi 250 tysięcy dinarów (100.000 zł.) szkody, hajducy Brkicza zamordowali 97 ludzi. Przewodniczący obwiniał wręcz radykałów o współudział w morderstwie, obrońca Zanicz rząd, który wysokimi podatkami zmusza chłopów do opuszczania domów i ucieczki w góry.

Tutejsza prasa wydaje różny sąd o procesie; oczywiście dzienniki radykalne nie są zadowolone z rozgłosu, jaki proces ten mieć będzie za granicą. Niezawisłe *Male Novine* piszą: „Serbja dotychczas podobnego procesu przeciw hajdukom nie miała. Monstrualny proces w Czaczaku jest straszliwym i krwawym dramatem, który Serbja długi czas pamiętać będzie. Proces ten od początku do końca jest szeregiem scen najokropniejszych, na których opis krew w żyłach się ścina. Nie powiedzimy, jeśli twierdzimy, żadna powieść, żaden dramat nie jest w stanie wywołać intenzywniejszego wrażenia, jak przebieg procesu i przesłuchania morderców."

W procesie zachodzi 113 wypadków razem ze 180 zbrodniami, wszystkie popełnione w ostatnich pięciu latach. Oskarżonych jest 96 osób; 17 hajduków, którzy w morderstwach brali udział, nie można już pociągnąć do odpowiedzialności, ponieważ już nie żyją. W większej części zginęli oni w walce z żandarmami, lub też zostali powieszeni, sześciu z nich zabiło własnych towarzyszy z obawy przed zdradą lub w sprzeczce. Szef hajduków, Brkicz, zabił trzech swoich towarzyszy.

Jeden z hajduków Vojko Timotijewiez popełnił 53 zbrodni, Brkicz 49. Wogóle jest pięciu herszów bandy, reszta odgrywała rolę dość podrzędną.

Wśród ludności panuje zajęcie dla procesu ogromne. Chłopi z okolicy Czaczku przybyli nań tłumnie.

Z prowincji.

Husiatyn 23. października. *(Nabożeństwo żałobne za Ujejskiego i Asnyka.)* W Husiatynie nad Zbruczem odbyło się dnia dzisiejszego staraniem tutejszego towarzystwa kasynowego nabożeństwo żałobne za spokój dusz zgasłych w bieżącym roku wieszczów naszych ś. p. Adama Asnyka i Kornela Ujejskiego. W kościele tutejszym u stóp pięknie w emblemata narodowe przyozdobionego katafalku zgromadziła się licznie doborowa publiczność. Podczas uroczystej przez ks. proboszcza odprawionej żałobnej mszy św. wykonał chór wiejski z Liczkowiec bardzo poprawnie rzewne pieśni żałobne — a podczas brzmienia wzniosłych melodji „Boże coś Polskę" i „Boże Ojcze Twoje dzieci" zabłysła w niejednem oku łza rozrzewnienia. Mowę żałobną na temat miłości Ojczyzny wygłosił w bardzo pięknych i podniosłych słowach ks. wikary Czarkowski z Liczkowiec. Po kazaniu odśpiewało duchowieństwo „*castrum doloris*" a wreszcie niezrównane tony nieśmiertelnego chorału wieszcza Kornela, zakończyły tę piękną i podniosłą uroczystość.

Bojkot.

W Kurjerze stanisławowskim czytamy: Jak wiadomo, wszystkie fabryki cukru w Austro-Węgrzech zawiązały kartel celem dowolnego podwyższenia cen i eksploatowania kieszeni konsumentów. Zdaje się, że do miljonów dochodzące premje cukrowe nie zadowoliły jeszcze pretensji fabrykantów cukru, a nawet bezustanne podwyższanie cen cukru uważają oni za niedostateczne dla zupełnego zabezpieczenia swych interesów. Po tylu dodatnich wynikach i zwycięstwach, związane kartelem cukrowarnie dążą do wyłącznego panowania.

Znalazło się jednak w Austrji i Węgrzech po jednej fabryce, a to Tłumacz w Galicji i Selyp na Węgrzech, które nie chciały poświęcić swej niezawisłości, a nawet tu i ówdzie poważyły się rywalizować z cenami fabryk kartelowych. Przeciw tym dwom fabrykom orzeczono bojkot — a reprezentanci kartelowych fabryk oświadczyli kupcom, iż którykolwiek z nich kupowałby cukier od fabryki z Tłumacza lub Selyp, z tymi kartelowe fabryki zrywają raz na zawsze stosunki handlowe. Bojkotowanie takie odbywa się i w naszym kraju na wielką skalę. Ajenci handlowi uwijają się i w Stanisławowie po sklepach grożąc kupcom wszystkimi sposobami na wypadek, gdyby się odważyli pobierać towar z fabryk wykluczonych. Sądzimy jednak, że kupcy nasi nie dadzą się odstraszyć tym „ringowym" wyzyskiwaczom, którzy radziby wycisnąć ostatni grosz nasz, byle tylko wypełnić swe nienasycone kieszenie. Sądzimy więc, że kupcy nasi będą się zaopatrywali w cukier w kraju we fabryce tłumackiej, która nie chcąc przyłożyć ręki do tego wspólnego dzieła na niekorzyść odbiorców, tem samem daje już rękojmię co do swej rzetelności, a więc dobroci towaru i miernej wysokości cen, gdyż tylko w tych warunkach odważyć się mogła konkurować z potęgą kartelową. Obowiązkiem moralnym wszystkich galicyjskich kupców, jako obywateli kraju, jest jedynie popierać fabrykę krajową, a niemieckich ajentów „puszczać z kwitkiem".

Dziwnem się wydaje, że rząd patrzy na tę całą sprawę spokojnie i z wielką uwagą studjuje ustawy kartelowe.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski.

Wtorek 26. października.

Na placu wystawy od godz. 8. rano do zmroku panorama „Bem w Siedmiogrodzie."

W Czytelni katolickiej pogadanka prof. M. Thulliego p. t. „O nierzetelności w handlu." Początek o godz. 7. wieczorem.

Teatr hr. Skarbka: „Kwiat miłości", operetka Jana Straussa. Początek o godzinie 7. wieczorem.

Wiadomości osobiste. Marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni wyjechał do Wiednia na ślub swej bratanicy hr. Wandy Badenianki, córki prezydenta gabinetu. Ślub ten, jak wiadomo, odbył się d. 24. bm. Marszałek powróci do Lwowa d. 1. listopada.

Kalendarz. Wtorek (26.): Ewarysta p. Wschód słońca o godzinie 6. minut 41, zachód o godzinie 4. minut 44.

Obchód na cześć Ujejskiego. Wczoraj rano odbyło się w kościele OO. Bernardynów żałobne nabożeństwo za duszę Kornela Ujejskiego, połączone z uroczystem odsłonięciem pamiątkowej tablicy, wmurowanej u wejścia do jednej z bocznych naw kościoła. Obchód urządziło stowarzyszenie rękodzielników „Gwiazda", którego zmarły poeta był długoletnim członkiem honorowym. Solenną mszę św. odprawił u wielkiego ołtarza ks. Cyprjan Jurkiewicz, w czasie nabożeństwu odśpiewał chór „Gwiazdy" mszę Wygrzywalskiego, a p. Stanisław Tarnawski solo modlitwę. W kościele zgromadziły się wszystkie cechy i korporacje ze sztandarami, wśród których znalazły się także sztandary stowarzyszeń „Gwiazda" i „Skała". Po mszy św. porywające kazanie wygłosił zmartwychwstaniec o. Wronowski, poczem odsłonięto tablicę, wykonaną bardzo pięknie przez p. Markowskiego z popielatego marmuru. Tablica ta, 2 metry długa, a 55 ctm. szeroka, ozdobiona emblematami poezji (lutnia, laury i ciernie), herbami Korony i Litwy, oraz fotografią wieszcza, nosi następujący napis: „1823+1897 Kornelowi Ujejskiemu, wieszczowi narodu polskiego, twórcy „Chorału", w dowód czci i niewygasłej pamięci, stowarzyszenie rękodzielników lwowskich „Gwiazda", jako swemu członkowi honorowemu. W październiku 1897." Po skończonej uroczystości odśpiewano chorał „Z dymem pożarów".

Krzyże zaduszne. Przemyskie towarzystwo św. Wincentego á Paulo postanowiło za przykładem Lwowa i Krakowa ustawić krzyże na grobach w dzień zaduszny. Krzyże te wraz z oświetleniem sprzedawać będzie na cmentarzu komitet towarzystwa św. Wincentego á Paulo w Przemyślu po cenie 2 zł. za sztukę, nie kładąc tamy dobroczynności, 1. listopada od godziny 2 popołudniu. Miejscowi zechcą sobie sami krzyże ustawić; dla zamiejscowych komitet zajmie się ustawieniem. Zamówienia i pieniądze przyjmują członkowie komitetu: profesor gimnazjalny Kossowicz, profesorowa Kossowiczowa, dyrektor kasy zaliczkowej Michał Osiński i majorowa Waydowska. Pośrednictwo przyjmuje także redakcja *Echa przemyskiego*.

Neofita. Dr. Sokal, sekretarz stanisławowskiego sądu obwodowego, przyjął we Lwowie chrzest św.

Wzajemna pomoc drobnych kupców chrześcjańskich w Galicji. Pod taką nazwą zawiązało się we Lwowie nowe towarzystwo, którego statuty zostały już potwierdzone.

Rozkosze ulicy Sykstuskiej. Mieszkańcy górnej części ulicy Sykstuskiej od dłuższego już czasu doświadczają dobrodziejstw wzmagającego się w naszem mieście „izraelickiego ruchu budowlanego". W roku ubiegłym stara kamienica pod l. 42 poddaną została reparacji, od jesieni 1896 do lata bieżącego roku trotoar do niej przytykający był dla publiczności prawie nie do użycia. Z początku właściciel tej kamienicy zbudował prowizoryczny chodnik boczny, później zniósł go, i puścił przechodniów po trotoarze, utworzywszy pod rusztowaniem rodzaj tunelu, którego boczne wyloty były nawet zabite deskami. Idąc tym tunelem w nocy, miałeś przechodniu wrażenie, jakbyś się dostał do nory rozbójniczej. Mniejsza jednak o to, przy tęższych nerwach nic ci to nie szkodziło. Gorzej było kiedy Pan Bóg zesłał deszcz, tunel bowiem nie miał szczelnie zamkniętego sufitu, pomiędzy deskami były wielkie szpary. Wtedy ściekała ci na głowę woda zmięszana z kurzem i wapnem, plamiąc ubranie, a jeśliś się zasłonił parasolem to i parasol poszedł na nic. Nie pozostawało ci nic innego, jak tylko zrezygnować z pozornej ochrony tunelu i dla salwowania palta i parasola brodzić gościńcem po kostki w błocie. Wszystko się kończy na świecie, skończyło się tedy i tynkowanie kamienicy i wszyscy byli zadowoleni: właściciel, że na podwyższonych czynszach odbije koszta reparacji, mieszkańcy tej strony, że mają którędy chodzić bezpiecznie. Ale przed kilku dniami spadło na nich nowe nieszczęście. Kamienica l. 44, sąsiadka poprzedniej, dama w podeszłych latach, a przeto już nie pierwszej świeżości, pozazdrościła swojej sąsiadce i jak to bywa w tym wieku postanowiła się również utynkować. Stanął tedy na trotoarze szereg niebotycznych drabin i górne rusztowania, na których pilny robotnik rozpoczął swą pracę. Ponieważ przy takiej robocie tynk i wapno zwykły zlatywać na dół, przeto właściciel pretensjonalnej sąsiadki, niewiadomo czy ten sam, czy poprzedniego brat w Jehowie, wychodząc ze słusznego zapatrywania, iż należy przechodniów strzedz przed wypadkami, założył tor poprzecznemi deskami; nieszczęście chciało, że ma deski zanadto długie, których mu żal przecinać, skutkiem czego nietylko trotoar pod rusztowaniem, ale i połowa ulicy ma zatamowany przechód. Kto się chce tamtędy przedostać, ma tedy spory kawał do obchodzenia, zwłaszcza, że stoją jeszcze kupy złożonych cegieł i co popołudnia prawie rozlane wapno, dowożone skądś, które dopiero kubłami zabiera się do wnętrza kamienicy. Prowizorycznego chodnika nie widać. Na razie kroczy przechodzień wśród tumanów kurzu, jakie się na gościńcu znajdują; kiedy przyjdzie deszcz, trzeba będzie brodzić w błocie po kostki, a choćby i po kolana. Czy reparację kamienicy prowadzi ten sam budowniczy, który w poprzednim roku reparował nr. 42, nie wiemy. Nie wiemy również nic o tem, czy urząd budowniczy wie o tych porządkach, jak niemniej, czy uważa je za dopuszczalne. Zresztą: *laissez faire, laissez passer*; niechaj przechodnie uzbroją się w cierpliwość, a na drugi rok, kiedy się tynkowanie podeszłej damy skończy, znowu wszyscy będą zadowoleni: właściciel, że odbije na czynszach koszta tynkowania, przechodnie, że będą mieli którędy chodzić i urząd budwniczy, że będzie miał porządek w tej stronie.

50-letni jubileusz kapłański święcił d. 20. bm. w Ustrobnej pod Krosnem ks. prałat Henryk Skrzyński. Ludność, kochająca gorąco swego pasterza, urządziła mu serdeczną owację.

W Łazach pod Bochnią utonęła w piątek w studni, Katarzyna Maciejowska, służąca, która rano poszła czerpać wodę. Prawdopodobnie zbytnio się nachyliła i śmierć znalazła.

Z uniwersytetu. Jerzy Rosenbaum, rodem z Podkamienia ad Brody w Galicji, otrzymał na uniwersytecie jagiellońskim stopień doktora wszech nauk lekarskich.

Nowe kółka rolnicze powstały w Łagiewnikach w pow. podgórskim i w Czyżykowie w pow. lwowskim. Liczba Kółek w Galicji wynosi 1270.

Poświęcenie klasztoru i kaplicy PP. Niepokalanek w Nowym Sączu odbyło się dnia 8. bm. Poświęcenia dokonał biskup tarnowski ks. Łoboz.

Rusini stryjscy wnieśli do ministra oświaty skargę na ks. Zellera, rz. kat. katechetę gimnazj. za to, iż wyrażał się ujemnie o Rusinach, a nawet obraził duchowieństwo ruskie kazaniem, wygłoszonem podczas obchodu poświęcenia sztandaru 2. korpusu weteranów w Stryju. Skargę tę podpisało 74 osób (18 księży i 56 wybitnych Rusinów z inteligencji ruskiej). Wręczył ją ks. Tamaczkiewicz poseł do rady państwa, bar. Gautschowi.

Usiłowane samobójstwo. Kasjer sądowy N., w Kłodzku na Szląsku Górnym w przystępie rozpaczy uczynił zamach na swoje życie. Zamknąwszy drzwi włożył lewą rękę i nogę w ogień i trzymał je tak długo, aż się zwęgliły. N. odniesiono do szpitala, gdzie mu już nogę odjęto. N. jest żonaty, ma przy sobie jeszcze matkę i siostrę. Pożałowania godnego czynu dopuścił się dla nieuleczalnej choroby nerwowej, której uleczenia szukał napróżno w różnych miejscach kąpielowych.

Fatalny wypadek. W Mochach przy Wolsztynie w Poznańskiem spaliła się żywcem dziewczynka. Matka jej wyszła w pole kopać kartofle i oprócz niej zostawiła w domu jeszcze troje młodszych dzieci w mieszkaniu. Pod wieczór dzieci zaryglowały się, a najstarsza Katarzyna, zabrala się do napełniania lampy naftą i zaświecenia jej. Przy nalewaniu nafty rozlała naftę i przytem część płynu polała jej suknie. Gdy następnie zapaliła zspałkę, aby rozświecić lampę, naraz zajęły się na niej suknie i dziewczę stanęło w płomieniach. Na wołanie innych dzieci przybył jeden z sąsiadów, wszedł do mieszkania oknem i i przytłumił ogień, lecz dziewczę odniosło niestety takie poparzenia, że po kilku godzinach niewymownych męczarni wyzionęło ducha.

Wyzysk. Czerniowiecka *Gazeta polska* donosi: Jeden z ajentów czerniowieckich sprowadził tutaj 84 robotników mazurskich z Galicji, a kiedy przybyli do Czerniowiec, oświadczył, iż niema dla nich zarobku. Ludzie ci osiedli na bruku obcego miasta literalnie bez grosza i wałęsają się od dni paru po ulicach bez dachu i chleba. Ajent nie chce o nich słyszeć, chociaż sam ich nakłonił do podróży i sprowadził. Jest prawie niemożliwem, iżby policja miejska nie wiedziała o niniejszym wypadku, toż zdumiewa nas poprostu, iż nic nie czyni. Wszakże istnieją pewne przepisy i są prawne sposoby zmuszenia odnośnego ajenta, ażeby zaopiekował się tymi ludźmi! Nie rozchodzi się tu już o nich samych tylko; głód i nędza doprowadzą ich do rozpaczy; kto wówczas przyjmie odpowiedzialność za następstwa?

W szkole inaczej i w domu inaczej. Do *Gaz. Opolskiej* pisze jeden z jej czytelników:

„Pytam pewnego 7-letniego, rozwiniętego i bystrego chłopca: „Jak się nazywasz: — A on na to: „W szkole?" — Ano — powiadam (zaciekawiony tem zagadnieniem) — w szkole! Chłopak odpowiada: „W szkole nazywam się Albert..." Więc pytam znowu: „A w domu?" — „W domu — odpowiada chłopak — „wołają na mnie Wojtek" — A czyś ty Niemiec, czy Polak?" — pytam. A on odpowiada: „W szkole Niemiec". — Ubawiłem się z tego chłopca bardzo, a zarazem przekonałem się, że system szkolny pomimo wszelkich wysiłków, jednak nie wnika do serc dzieci naszych. W szkole takie dziecko uważa się np. za coś innego i zwie się jako uczeń szkolny Albertem i Niemcem. Gdy szkołę opuści, pozostanie tem, czem jest w wrzeczywistości — dzieckiem ludu polskiego".

Polacy w Bośnji. W Bośnji są trzy kolonje polskie: Celinowac, Milowaczka Kozara i Rakiewiczka Kozara, których ludność składa się z 72 rodzin, pochodzących z Galicji, z powiatów: rzeszowskiego, niziańskiego i kolbuszowskiego. Koloniści z powodu braku kościoła, muszą chodzić do leżącego o kilkanaście kilometrów kościoła niemieckiego, a sami, walcząc z biedą, nie posiadają funduszów na postawienie własnego. W tym celu zawiązany komitet, złożony z ks. dra Fr. Króla, kapelana klasztoru „Nazaret" pod Banialuką, ks. Stanisława Biegańskiego, pijara z Krakowa, oraz Pawła Rochaczka, zbiera ofiary pieniężne na kościół polski w wyżej wymienionych osadach, oraz ofiary w książkach na czytelnię.

Polacy w Pekinie. Przed rokiem dwaj Warszawiacy, Jan Piegłowski dentysta i Karol Jentys felczer, przenieśli się do Pekinu i założyli tam lecznicę dentystyczną. Widocznie powodzi się im bardzo dobrze, bo przed kilku dniami przysłał Piegłowski do Warszawy 1000 rubli na zapłacenie dawnych długów.

Karjera śpiewaczki. Dawna śpiewaczka teatru an der Wien w Wiedniu p. Baviera, żona hrabiego Hermana Zichy'ego, wniosła do ministerstwa prośbę o nadanie jej trafiki. Mąż śpiewaczki bawi w Ameryce. Scena — zamek — trafika, w istocie niezwykła zmiana pomieszkania.

Ofiarą katastrofy padł w tych dniach Sewastopol. W nocy dnia 9. bm. gęste chmury zaległy widnokrąg nad miastem. O godz. 11. otworzyły się upusty niebieskie i spadł ulewny deszsz, trwający zaledwie dwie godziny. Z szarych, ołowianych chmur w całem tego słowa znaczeniu, spływały na nieszczęsne miasto potoki wody. Wkrótce część miasta, leżąca na południowym brzegu zatoki, znalazła się pod wodą, która z niezwykłą siłą uderzyła z gór na miejscowości niżej położone. Szalejący żywioł podmył mur, otaczający przytułek dla dzieci i począł się wdzierać do mieszkań parterowych, gdzie były urządzone sypialnie. Dzieci z trudnością tylko zdołano uratować i przenieść na górne piętra. Na ul. Rzemieślniczej woda zerwała most niszcząc wszelką komunikację kołową i pieszą; z placu targowego pounosiła budy kramarskie. Na ulicach woda sięgała wysokości trzech i czterech metrów, unosiła meble, statki gospodarskie, psy, koty i ptactwo domowe. Dworzec kolei żelaznej i stacja były zalane aż po pierwsze piętro. Mnóstwo towarów zostało zniszczonych. Wiele domów niezbyt silnie budowanych runęło pod naciskiem masy wody. Wodociągi miejskie zostały do szczętu zrujnowane. Na ulicach i placach potworzyły się wyrwy, mające głębokości do czterech sążni. Szluza kolejowa zniszczona; nie pozostało z niej ani śladu. Dopiero o godz. 3 w nocy woda zaczęła opadać. Na razie nie umiano sobie zdać sprawy z ogromu klęski. Dopiero ranek przekonał mieszkańców o wielkości katastrofy. Wiele bardzo osób w ową pamiętną noc utraciło całe swoje mienie. Zapasy żywności, znajdujące się w składach rządowych i prywatnych, zostały zupełnie zniszczone. Nazajutrz miasto nie miało zupełnie chleba. Ceny produktów żywnościowych podskoczyły o 300 % w górę.

Nowy środek znieczulający. Dwaj badacze niemieccy pp. Einhorn i Heinz, odkryli nowy środek znieczulający, któremu nadali nazwę „ortoformu". Substancja ta należy do grupy chemicznej eterów aromatycznych; jestto proszek biały, krystaliczny, lekki, nie posiada smaku ani zapachu, rozpuszczalność jego mała, stąd działanie powolne, ale natomiast wpływ trwały. Ortoform w połączeniu z kwasami wytwarza sole rozpuszczalne, które również posiadają własność znieczulającą, ale w tej postaci nie można go używać jako środka na rany, albowiem kwas drażni. Ortoform, w proszku lub maści, stosowany był przez wynalazców w wypadkach oparzenia i w przeciągu kilku minut usuwał ból na całe godziny. Ponieważ nie zawiera toksyn (własności trujących), z chwilą, kiedy jego wpływ znieczulający ustał, stosowano świeżą dawkę z równem powodzeniem. Taki sam skutek pomyślny osiągnęli pp. Einhorn i Heinz, stosując swój środek w wypadku raka w twarzy; który sprawiał pacjentowi takie straszne cierpienia, że go zupełnie snu pozbawiał; ranę rakowatą zasypywano przez tydzień ortoformem w proszku, ilość, w ten sposób zastosowana, wyniosła 50 gramów. Chory przestał cierpieć, a lekarstwo nie wywołało żadnych zgoła przypadłości. W wypadkach raka żołądka stosowali wynalazcy po kilka dawek ortoformu gramowych w ciągu jednego dnia. Nowy środek posiada również silne własności antiseptyczne, które przyśpieszają gojenie się ran. Na skórę zdrową, nienaruszoną, nie działa zupełnie. Obecnie dokonywane są w Monachjum próby stosowania ortoformu, jako środka znieczulającego przy operacjach.

---

* **Wpisy uczniów** do szkoły dla przemysłu budowlanego odbędą się w dniach 1. i 2. listopada od godz. 9.—12. i d. 3. listopada od 9.—12. i od 3.—5. w gmachu szkoły przemysłowej we Lwowie.

Zmarli:

Dr. Władysław Kleczyński, koncypjent prokuratorji skarbu, syn prof. uniwersytetu Jagiellońskiego, zmarł w 25 r. życia w Krakowie.

W sobotę zmarł w Przemyślu w 77 r. życia ks. dr. Juljusz Nowina Paszyński, proboszcz przemyski i prałat-scholastyki przemyskiej kapituły.

Robert Prokopowicz, kontrolor pocztowy, przeżywszy lat 56, zmarł w Czerniowcach.

Edward Ogończyk Grotkowski, rewident dyrekcji kolei państwowej w Stanisławowie, przeżywszy 64 lat, zmarł 22. b. m.

W Wiedniu zmarł prof. austrjackiego prawa prywatnego w uniwersytecie wiedeńskim dr. Franciszek Hofmann.

Odsłonięcie pomnika Fredry.

Lwów 25. października.

Nietylko aparaty fotograficzne, wycelowane swojemi szkiełkami ze wszystkich prawie sąsiednich balkonów, ale pendzel malarski mógłby upamiętnić wczorajszy akt odsłonięcia pomnika Aleksandra Fredry. Widok był bowiem istotnie bardzo malowniczy i oryginalny. Na środku placu Akademickiego, w otoczeniu klombów i trawników, spiżowa postać poety, zakryta z czterech stron czerwonem płótnem, stanowiła środowisko, skupiające w sobie uwagę i zainteresowanie. W bezpośredniem jego sąsiedztwie zebrała się grupa najwybitniejszych osób we Lwowie. Reprezentanci władz i instytucji, artyści, literaci, profesorowie, uczeni, członkowie armji. Las cylindrów i szapoklaków falował u stóp pomnika. Marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni w czarnym kontuszu, toż samo prezydent miasta dr. Godzimir Małachowski. Ogółem było kontuszów niewiele, ale tem silniej wybijał się z ogólnego tła ten zamaszysty strój polski. Z wybitnych osób, które wzięły udział w akcie fredrowskim, prócz wspomnianych już wymienić należy namiestnika ks. Sanguszkę, ks. arcyb. Isakowicza, prezydenta dra Tchorznickiego, wiceprezydenta Bobrzyńskiego, prezesa dra Marchwickiego, wiceprezydentów miasta pp. Michalskiego i Schayera, członków wydziału krajowego, rektorów politechniki i uniwersytetu, sędziwego poetę Karola Brzozowskiego, jenerała Tempisa, pułkown. Ocetkiewicza.

Plac Akademicki był już o godzinie jedenastej zalany tłumami publiczności, a sąsiednimi ulicami: Akademicką, Fredrowską, Koralnicką i św. Mikołaja płynęły wciąż nowe grupy. Dawno już nie było we Lwowie na wolnem powietrzu tak znacznego kongresu osób ze sfer inteligencji, jak wczoraj. Porządek utrzymywała straż obywatelska, ale tylko oficjalnie, gdyż wszystko odbywało się z zegarkową skrupulatnością i mimo olbrzymiej liczby głów, zgromadzonych na placu nie było wcale tłoku. Z powodzi tej wychylały się w powietrze sztandary „Sokoła" lwowskiego i „Gwiazdy", a tuż przed pomnikiem trzymane było starożytne insignium „konfraternji literackiej", obecnie własność „Koła." Wreszcie ze wszystkich okien i balkonów okolicznych ciekawe główki kobiece, uzbrojone w binokle, śledziły przebieg uroczystości. O godzinie dwunastej rozpoczął się akt.

Na przygotowaną trybunę wystąpił Albert Wilczyński, prezes komitetu budowy pomnika i w kilku słowach skreślił dzieje jego działalności od zawiązania się aż do dnia dzisiejszego. Stajemy oto, mówił, przed posągiem człowieka, którego pamięć tak długo będzie istniała i świeciła, jak długo humor, humor naturalny i zdrowy, będzie osłodą życia ludzkiego, a przynajmniej jak długo istnieć będzie scena polska.

38

J. JANIN.

ZEMSTA.

Powieść współczesna.

(Ciąg dalszy).

Szał, błogość tego uścisku zerwały zasłonę, którą początkowo dobrowolnie zarzucił na prawdę, nie chcąc jej widzieć, nie chcąc jej nawet przeczuwać. I oto, pomimo wszystkich wybiegów, pomimo wszystkich czczych pretekstów, którymi chciał odurzyć sumienie, którymi starał się ukołysać swą ślepotę, stał się dzień, a to, co ujrzał na dnie tej głębi, oświetlonej tym pocałunkiem, to coś, co się tak długo ukrywało w najskrytszych tajnikach jego serca, wystąpiło tego wieczoru na jaw i pogrążyło go w rozpaczy.

Tak, kochał ją; kochał ją od tej chwili, w której ją ujrzał po raz pierwszy. Ta niepewność, ta bieganina od dnia jego przybycia do Wenecji, to nagłe, nie do uwierzenia zgaśnięcie gniewu z powodu haniebnego czynu, jaki miał popełnić, to zadrzemanie jego poczucia honoru, podczas gdy wszystkie jego myśli, wszystkie jego pragnienia, każda z chwil poświęcona była jedynie temu, aby się do niej zbliżyć, widywać ją, zdobyć jej miłość, wszystko pod tym pretekstem, żeby zapewnić sobie zemstę, wszystko to było szaloną, w czasie pierwszego spojrzenia zrodzoną miłością. Owładnęła jego duchem i ciałem i panowała nad nim niepokonanie, na mocy nieubłaganego prawa, tak jak chmura rodzi pioruny, jak morze zawiera w sobie burzę, jak ptaki rodzą się ze skrzydłami, dla lasów i dla pieśni....

Pomimo, iż to był dopiero początek lutego, co we Włoszech coprawda oznacza już początek wiosny, atmosfera, jaka tego wieczoru ciężyła nad Wenecją, brzemienna była burzą. Słońce zachodziło na takiem burzliwem niebie, jakie malował Tintoretto, krwawa tarcza słońca była poprzecinana chmurami, które pędziły na widnokręgu. Miękkie, gorące podmuchy wiatru ścigały je w ich ucieczce, mewy przelatywały, smagając powietrze skrzydłami.

Noc zaledwie zapadła, a już laguny tonęły w ciemnościach z swym nieskończonym pluskiem, z swym szumem, z swem niespokojnem życiem. Tylko zielonawe lub miedziano-czerwonawe światła, które od czasu do czasu przerzynały niebo, zdradzały jego perspektywy, a przedmioty, których dotykały w przelocie swem spłowiałem światłem, nabierały jakiegoś fantastycznego, tajemniczego, marzycielskiego wyglądu. Było to dziwne oświetlenie, które zapóźnionym pasażerom gondoli, uciekającym w tej burzliwej ciemności po kołyszących się falach, przypominało więcej niż pałace, niż nieśmiertelne arcydzieła, niż magja światła, niz cudowny koloryt, niż nieporównane fosforyzowanie powietrza i wody — Wenecję rady dziesięciu. W tem oświetleniu było to znowu miasto intryg i zbrodni, miasto tajemnic i romantyki.

I jak za czasów dawnej republiki odbywał się tego wieczoru w Wenecji festyn.

W jednym z najstarszych pałaców, w jednym z tych, które jeszcze zupełnie przesiąknięte są tajemniczą poezją przeszłości, pełnej festynów, świetnych orgij, ponurych dramatów, genjalnych mistrzów, wielmożów i władczyń w państwie miłości, w jednym z takich pałaców, przybranym w kwiaty, zapalono kandelaby, a muzyka zaczęła wabić gości.

Jedna po drugiej gondola przybywała tej nocy, a przechodnie, jacy jeszcze przechodzili przez Ponte Rialto, którego latarnie rzucały blade smugi światła na wodę, sądzili, patrząc na te przesuwające się czarne widma, na których cienie znowu cienie się kładły, że widzą „pływające trumny".

Ponura ta iluzja znikała jednak szybko. Gondoljerzy stawali przy wielkich schodach pałacu Sentelli, piękne nóżki, ukryte w złotych, drogimi kamieniami wysadzanych pantofelkach, biegły po schodach marmurowych, aby się dostać do przedsionka. Zmieniono go w ogród czarodziejski, oderwany, jak się zdało, od brzegów Grecji z tych czasów, kiedy jeszcze bogowie i boginie schodziły na ziemię. Zresztą zdawało się, iż ci mieszkańcy Olimpu znajdują się tutaj żywi, tylko na chwilę zakuci w marmurowe i bronzowe posągi.

A potem patrycjuszki szły po majestatycznych schodach w górę. Zdawało się iż wyszły z ram obrazów piękne kobiety Giorgione'go, Tycjana, Veronesego.

Były to te same szaty, wyjęte na ten festyn z starożytnych komód, w których przechowywane bywają zazdrośnie z pokolenia w pokolenie skarby: stare koronki weneckie, cudowne klejnoty i ozdoby prababek, tych ubóstwianych modelek wzniosłych mistrzów. To był dopiero szum tkanych złotem jedwabi, brokatów, materyj wschodnich! Widać tam było wszystko: różową materję, po której się wiły żyłki złote, bladą lila, splątane mieniące się barwy szat kobiecych Veronesego; ten różowawy, w paski złote, atlas, ten bujną, głęboką, czerwoną jak wino błyszczącą purpurą adamaszek draperyj Tycjana. Fałdy łamały się w świecących zgięciach, a wszystko to świeciło się, błyszczało, rzucało iskry, migotało przy każdem poruszeniu.

I te kobiety, które tam, niedbale kołysząc się, wchodziły na schody, posiadały tę samą szlachetność w postawie, ten sam rytm kształtów i linij, który zdawał się być zapożyczonym od starożytnych posągów, a złagodzonym jednak wenecką pulchnością.

I były to te same złota pełne włosy, chociaż o trochę mniej żywym kolorycie, które ufryzowane, pełne blasku, wymykały się w lokach, podobnych do lin, z zębów grzebienia, było to to samo arystokratyczne wygięcie szyi, śnieżnych ramion, ta sama miękkość i pełność ruchów. Oczy posiadały ten sam błyszczący spokój, usta te same żywe korale, ten sam pogardliwy, zachwycający i podburzający, zalotny uśmiech.

Osobom, które z najwyższych stopni schodów patrzyły na ten barwny obraz, który swym potężnym, tajemniczym realizmem powoływał na nowo do życia Wenecję Tycjana, przedstawiał się oślepiający, mogący przyprawić o zawrót głowy widok.

Pod kopułą z kosztownych lustrzanych szyb przyjmowała gości księżna Mentana, mając obok siebie pana domu, Piotra de Chypre Montaigout.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Następnie mówca scharakteryzował talent komedjopisarski Fredry, przeszedł główne etapy jego twórczości i zakończył następującemi słowami: „Dziś Lwów, z którym się łączy tyle tradycyj fredrowskich, gdzie po raz pierwszy komedje jego ukazywały się na scenie i znajdowały znakomitych wykonawców, gdzie sędziwy komedjopisarz spędził ostatnie lata życia i tam o to w tym domu dokonał go, dziś ten Lwów publiczną część mu składa w taki sposób. który nieustannie przypominać nam będzie drogą postać autora „Zemsty“, „Ślubów panieńskich“ i „Jowialskiego“. Oto jest ów sposób, oto jest pomnik, na który patrząc z dumą, możemy być pewni, że naród, mający takich mocarzy ducha, jak Fredro, i naród czujący potrzebę oddawania im czci publicznej, nie może wątpić o swej szczęśliwszej przyszłości“.

Następnie obecny wiceprezes koła literackiego prof. August Balasits przemówił, kończąc wezwaniem, aby zdjęto zasłonę z pomnika. Z pod czerwonego sukna, wśród oklasków zebranej publiczności, wychylił się bronz dłuta prof. L. Marconiego. Fredro w postawie siedzącej, w polskiej czamarze, trzyma w ręce zwój papieru i pióro. Na pomniku z jednej strony widnieje napis: „Aleksander hr. Fredro“, z drugiej: „Staraniem koła literackiego we Lwowie 1897“. Chór tow. muzycznego pod batutą dyr. Szwarca, z towarzyszeniem orkiestry wojskowej 80. pułku, odśpiewał kantatę poczem na trybunę wstąpił prezydent miasta dr. Małachowski i donośnym głosem przemówił:

Z uczuciem prawdziwej wdzięczności dla koła literackiego, dla inicjatorów pięknej myśli pomnika, którzy tyle starań podjęli i tyle pracy i trudów łożyli dla przeprowadzenia dzieła tego, z uczuciem równie szczerem i serdecznem, jak szczerą i serdeczną była intencja ofiarodawców — przyjmuje reprezentacja miasta imieniem gminy Lwowa ten szczodry i piękny dar literackiego naszego świata i składa mu niniejszem publiczny wyraz jak najgorętszej podzięki.

Obowiązkiem też jest moim złożyć podziękowanie równie gorące czcigodnemu twórcy pomnika profesorowi Leonardowi Marconiemu, który z całym zasobem swojego pięknego talentu, pracy się podjąwszy, włożył w dzieło to pełne tchnienie swej artystycznej duszy i stworzył rzecz, która na wieki stanowić będzie jedną z najpiękniejszych ozdób naszego miasta.

Nigdy bez echa w sercach narodu nie przebrzmi struna prawdziwego, wielkiego talentu oddającego usługi Ojczyźnie i prędzej czy później, naród zawsze odda hołd zasłudze i z przedziwnym instynktem właściwej miary i bezwzględnej sprawiedliwości w szeregach zasłużonych obywateli dla każdego znajdzie odpowiednie miejsce.

Stwierdzeniem tej maksymy jest akt dzisiejszy.

Jest on oddaniem hołdu dla niezrównanego mistrza pióra i szermierza prawdy.

Prawdzie on służył, tej prawdzie codziennego życia, którą wszyscy spotykamy, lecz jej często nie dostrzegamy, gdyż lekkim pokryta obłokiem, dostępna tylko oku bystrego obserwatora, który wskaże ją nam i powie: patrzcie, oto ją oświetlam promieniem mojej duszy, a my wszyscy przecieramy oczy i mówimy: — ach prawda, dlaczegoż sami jej nie zauważyliśmy?

Prawdą tą dzielnie służąc narodowi, przesuwał Fredro przed oczy nasze szereg cały wesołych obrazów z życia, w których jak w czystem źwierciedle poznawaliśmy nas samych, — naszych współobywateli, naszych przodków i współczesnych.

Obrazy te zaś miały zawsze w dziwnie harmonijny sposób zestawione i światła i cienie, malowały zarówno dobre, jak i złe strony charakterów i temperamentów, a gdy nie miały w sobie nic żółciowej, pesymistycznej goryczy, ani pogardliwego sarkazmu, lecz szczerym, życzliwym i serdecznym i zawsze swojskim były nacechowane humorem, który pobudzając do śmiechu nie potępia, nie wyszydza, lecz bawi i cieszy, to musiały zachwycać, a autorowi sławę i cześć narodu całego pozyskać.

Zdawałoby się na pozór, że to rzecz, tak łatwa, tak naturalna, pisać, przedstawiać tylko prawdę, czerpać z tej niewyczerpanej studni życia i reprodukować rzeczywiste fakta i zdarzenia, zdawałoby się, że zasada Wiktora Hugo, który wnosił ująć wszystkie przepisy prawne o piśmiennictwie i dziennikarstwie w jedną regułę, streszczającą się w krótkich trzech wyrazach: „pisać tylko prawdę“, jest tak prostą w zastosowaniu, jak prostym bieg strumienia, że płynąć winna z ust i pióra każdemu kto mówi lub pisze — a jednakże to ideał prawie nie do osiągnięcia, a temu z niewielu wybranych, kto polotem genjuszu i talentu potrafi choćby zbliżyć się do tego ideału, — temu naród stawia pomniki.

Wymowniejsze i kompetentniejsze odemnie usta, przedstawicieli świata literackiego, przedstawiały wyczerpująco wszystkie zasługi i charakterystyczne cechy wielkiego talentu naszego Moliera: jeżeli tu podnoszę ten jego główny rys prawdy życiowej, który nadaje piętno pismom Fredry, to czynię to dlatego, ażeby zaznaczyć, że dla nas, którym tylokrotnie zarzucają brak realizmu którzy zapoznawaniem rzeczywistości i kroczeniem w marzeniach, poddawaniem się optymistycznym łudzeniom i zbyt łatwą wiarą w powodzenie śmiałych zamysłów tyle strat ponieśliśmy, którzy niejednokrotnie sentymentalizmem zawsze jeszcze grzeszymy, a temperamentowi czasami zbyt górować dozwalamy — nigdy nie dosyć powtarzać, że prawda życia codziennego i walka i praca na tem polu jedyną przewodnią nam dewizą być winna.

Każdemu więc cześć, kto zasady tej prawdy uchwyciwszy, poda je społeczeństwu tak, jak mu zawód i talent dozwoli — ale temu tylko naród hołd odda, kto prawdę życia poda w tak przystępnej, popularnej a przyciągającej formie, iż się nią przejmie naród cały, iż ona wejdzie mu w krew i kości, i stanie się drugiem jego jestestwem.

Takie stanowisko zajął Molier u Francuzów, takie zyskał Fredro u nas.

Trafne myśli Fredry stały się własnością ogółu, bo nie masz nikogo, ktoby nie powtarzał przepysznych zwrotów z „Zemsty“ i z „Jowialskiego“, z „Cudzoziemczyzny“ lub „Geldhaba“.

A myśli te przyjęły się dla tego, bo były i są wyrazem uczuć naszego społeczeństwa, bo odzwierciadlają jego duszę, bo chwytają ten puls zawsze bijący, bo są życiem, bo są prawdą!

W tej prawdzie słów Fredry owianych gorącą miłością Ojczyzny tkwi jego popularność, jego wielkość i wieki przeminą, a słowa jego nie przeminą.

Z uczuciami głębokiej czci i pietyzmu odbieram więc imieniem gminy miasta Lwowa z rąk szanownego komitetu ten spiżowy wizerunek niezapomnianego naszego Fredry, a sądzę, że te uczucia rady miejskiej jak i jej tylekrotnie zamanifestowany prawdziwy patrjotyzm i gorąca miłość Ojczyzny dają dostateczną gwarancję, że pomnik ten zawsze szanowanym i szczególną opieką otaczanym będzie. Lecz ona nie wystarczy, jeżeli mieszkańcy naszej stolicy sami — oceniając nieposlednią wartość tego pomnika dla miasta, nie podadzą administracji miejskiej pomocnej dłoni w ochranianiu tej pamiątki.

Jestem przekonany, że tak będzie, że mieszkańcy tego grodu zawsze rozumieli i teraz zrozumią ten patrjotyczny obowiązek na nich ciężący i uczynią wszyscy wszystko, co w mocy każdego, by tę pamiątkę chronić i szanować, pomni tej prawdy dziejowej, że potępianym będzie naród, który swych własnych nie szanuje pamiątek.

Po przemówieniu dra Małachowskiego wstąpił na trybunę wnuk poety, obywatel ziemski z rudeckiego, hr. Andrzej Fredro i rzekł:

Czcigodni Panowie, a drodzy mi zawsze, z dzisiejszą chwilą tem droźsi rodacy! Staję przed wami rozczulony, zawstydzony, a wdzięczny zarazem bez granic. Wdzięczny, żeście wy panowie, koło literacko-artystyczne, a z wami naród polski cały, zrozumieli myśli, uczucia i działalność śp. dziada mego, żeście nie szczędzili trudu ni kosztów na uczczenie jego pamięci — żeście wreszcie i mnie na uroczystość dzisiejszą zaprosić raczyli, zawstydzony, bo w niczem ani w najmniejszej cząstce ani dziadowi ani ojcu mojemu dorównać nie zdołałem.

W imieniu całej rodziny dziękuję wszystkim w całej Polsce, którzy swoją cegiełkę do zniesienia tego pomnika dołączyli. Ten pomnik to zaciśnięty węzeł między wszystkiem co polskie a potomkami Aleksandra Fredry, silniejszy od gordyjskiego — jego żaden Aleksander Wielki przeciąć nie potrafi; — ten pomnik to wyraz wdzięczności narodu dla talentu i pracy, to upomnienie dla nas młodszych do wdzięczności i do obowiązków względem Ojczyzny.

Tylu tu widzę zebranych, że nie wiem na czyje ręce złożyć wyrazy wdzięczności, więc miast podzięki najgorętsze, najgłębsze podniosę życzenia: Oby te gwiazdy, które świecą nad mogiłami dobrze zasłużonych, jaśniały w dal przyszłości, oby nigdy nie zgasły ani w sercach, ani w myślach ani w czynach naszych... do ostatniego tchu.

Uroczystość zakończyła się śpiewem chóru tow. muzycznego oraz odczytaniem depesz od artystów sceny warszawskiej i od krakowskiego koła literackiego. Pogoda dopisała uroczystości, bo nie było deszczu.

* * *

O godzinę 1. rozpoczęło się w salach kasyna mieszczańskiego przyjęcie, dane dla wybitniejszych uczestników uroczystości przez hr. Andrzeja Fredrę. Osób było około sto, między innemi: ks. arcyb. Issakowicz, prezydent Małachowski, wicepr. Michalski, wicepr. Schayer, zast. marsz. Chamiec, prof. Małecki, bliscy krewni Fredrów, hr. Szeptyccy, prezes Marchwicki itd. Toastów wzniesiono pięć. Pierwszy dr. Małachowski pił na cześć hr. Andrzeja Fredry, jako gospodarza, potem hr. Fredro na cześć ks. arcybiskupa Issakowicza, ks. Issakowicz na cześć rodziny Fredrów, hr. Szeptycki na cześć publicystyki, redaktor Ostaszewski-Barański na cześć prof. Bobina, który swojego czasu postawił w kole literackiem wniosek wzniesienia pomnika Fredrze. — Podczas uczty przygrywała orkiestra 80. pułku.

* * *

Epilogiem uroczystości było przedstawienie „Ślubów panieńskich“ w teatrze hr. Skarbka (w sobotę grano dla młodzieży „Zemstę“, wczoraj popołudniu „Damy i huzary“). Widownia, dekorowana bardzo gustownie herbami województw, ziem i miast polskich, oraz kolorami narodowymi, była zapełniona inteligentną publicznością. Z prawdziwą satysfakcją oglądało się w lożach i na parterze osoby, które po raz ostatni były w teatrze na premjerze „Młyna djabelskiego,“ a Fredrę znały dotąd ze słyszenia albo co najwyżej z jego dzieł — niewydanych. Uroczystość rozpoczęła pani Stachowicz deklamacją znanego naszym czytelnikom wiersza p. Adolfa Walewskiego. Pod koniec deklamacji kurtyna poszła w górę i przy dźwiękach pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ przedstawiła się oczom widzów nadzwyczaj oryginalna grupa wszystkich męskich i kobiecych wybitnych postaci fredrowskich w charakterystycznych strojach. Trzy razy wśród oklasków publiczności odsłaniano kurtynę, aby umożliwić oglądanie tej istotnie doskonale pomyślanej grupy, za którą w głębi widniał otoczony zielenią olbrzymi biust poety.

Potem rozpoczęło się przedstawienie „Ślubów“, które było połączone z serdeczną owacją dla p. Woleńskiego, powracającego na deski teatralne po dłuższej słabości. Zarówno wejście jego na scenę, jak doskonała, pełna temperamentu gra w roli Gucia, spotkały się z gorącymi oklaskami audytorjum. Sztuka była grana dobrze, zwłaszcza przepyszny był rozwzdychany Albin p. Żelazowskiego. Debiutująca w roli Klary p. Marja Jastrzębcówna, artystka sceny łódzkiej, grała dość blado. Liryczną Anielę zarysowała z wdziękiem pani Bednarzewska, poprawnym Radostem był p. Feldman. W całości uderzało staranne przygotowanie i troskliwość o uwydatnienie sztuki. W antraktach wykonała orkiestra pod batutą p. Wrońskiego kilka pięknych utworów, między innemi polonez a dur Szopena, menuet Paderewskiego i wieniec melodyj narodowych. Publiczność nastrojona była na diapazon naprawdę świąteczny, biła brawa, a pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ wysłuchała stojąc.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś we wtorek po raz czwarty „Kwiat miłości“, operetka w 3 aktach Jana Straussa.

„Nad morzem.“ Najnowszy, piąty z kolei, numer *Życia* przynosi w feljetonie zapowiedziany już przedtem, pierwszy po polsku napisany utwór głośnego wizjonera Stanisława Przybyszewskiego p. t. „Nad morzem.“ Jestto poemat prozą, będący dziełem szalonego rozpętania się fantazji, która w chaotycznym, bezbrzeżnym nastroju łączy ocean i kobietę w jeden symbol. Polszczyzna świetna, nasycona ogniem i tęczą, pełna kryształowych drgnień światła i nowych kojarzeń wyrazów, delikatna, jak puch i silna, jak orkan, wprowadza w osobie Przybyszewskiego do literatury naszej prawdziwego muzyka mowy polskiej. Same dźwięki jej mają w sobie moc upajającą, pienią się, perlą i grają, jak morze, którego grozą i czarem nabrzmiewa każdy wiersz poematu. Z tem większą ciekawością przyglądamy się zamieszczonym w *Życiu* dwom portretom: Przybyszewskiego i jego żony, Norweski, pisującej pod pseudonimem „Dagny.“ Obie głowy są interesujące: jego, owalnego kształtu, z przygasłemi oczyma i delikatnemi rysami twarzy, uderza melancholją, jej — ostrym germańskim wyrazem. *Życie* zapowiada obszerne studjum o „genjalnym Polaku“, jak Przybyszewskiego nazywają Niemcy. Prócz poematu „Nad morzem“ znajdujemy w *Życiu* poezje Malarmego (przekład „Herodjady“), Lwa Mierzejewskiego („Evoe vita!“), St. Wierzbickiego („Modlitwa“); dalszy ciąg sylwetki Sienkiewicza przez Antoniego Potockiego, rozprawkę o medjumizmie Ochorowicza, dokończenie noweli „Szara godzina“ Gabrjeli Zapolskiej, recenzje z „Małki Szwarcenkopf“ Ludwika Szczepańskiego i Kazimierza Skrzyńskiego itd. Ilustracje: Rauchingera, Boznańskiej i Janowskiego.

Łotysze i literatura polska. Od pewnego czasu Łotysze z gubernij nadbałtyckich zaczynają interesować się literaturą polską. W czasopismach łotyskich spotykamy często wzmianki i sprawozdania z ruchu piśmienniczego polskiego, a gazety łotyskie wychodzące w Rydze i Libawie, zamieszczają tłómaczenia wybitniejszych polskich autorów. Krytyczno literacki rocznik *Tantu pagalmis*, wychodzący w Libawie pod redakcją adwokata Kreizberga i wydawany nakładem libawskiego towarzystwa wydawnictwa książek łotyskich, zamieszcza szczegółowy rozbiór najnowszych utworów polskich i tym sposobem zaznajamia ogół Łotyszów z naszą literaturą. Lepsze utwory Kraszewskiego, Orzeszkowej, Rodziewiczównej, Szymańskiego i innych, już od dawna zostały przyswojone literaturze łotyskiej. Obecnie ogromnem powodzeniem cieszą się wśród Łotyszów utwory Sienkiewicza. „Szkice węglem“, „Stary sługa“, „Hania“, „Janko muzykant“, „Listy z Afryki“ i „Ogniem i mieczem“ zostały przetłómaczone na język łotyski i wydane częścią w Rydze, częścią zaś w Libawie. Nadzwyczaj starannym przekładem odznacza się powieść „Ogniem i mieczem“, „Janko“ zaś został wydany aż w czterech tłómaczeniach. Utwory Mickiewicza wyszły również w tłómaczeniu i odznaczają się zarówno wiernością, jak wyborną formą. „Konrad Wallenrod“ przetłómaczony został bardzo pięknym wierszem przez poetę Edwarda Silbersa; sonety i ballady w tłómaczeniu Janszewskiego i Silbersa, zamieszczane bywają w miesięczniku *Wschód*, wychodzącym w Rydze. Obecnie kończy Janszewski tłómaczenie „Pana Tadeusza“, który w roku przyszłym — jubileuszowym — zostanie wydany w oddzielnej książce, poprzedzonej życiorysem naszego nieśmiertelnego wieszcza. W kilku ostatnich numerach miesięcznika, wychodzącego w Rydze, był zamieszczony życiorys Mickiewicza, bardzo szczegółowo i starannie opracowany przez Silbersa.

Gospodarstwo przemysł i handel.

— **Z powodu nieurodzaju ziemniaków** w wielu miejscowościach, poczynił komitet Towarzystwa gospodarskiego starania u ministerstwa kolejowego i u dyrekcji kolei państwowych we Lwowie i Stanisławowie, aby dla przewozu ziemniaków ustanowiono wyjątkową, znacznie zniżoną taryfę przewozową.

— **Dyrekcja kolei państwowych donosi:** Dotychczasowa nazwa przystanku „Mitlelberg“ została z dniem 1. października b. r. na „Aussenfelden“ zmienioną.

Rada państwa.

Komisja budżetowa odbyła w sobotę posiedzenie, na którem byli: minister skarbu Biliński i minister rolnictwa Ledebur. Toczyły się obrady nad przedłożeniem subkomitetu w sprawie wniosków o zapomogę dla krajów nędzą dotkniętych. Oprócz innych zabierali głos posłowie Eugenjusz Abrahamowicz, Lupul i Pacak. Wszyscy mowcy podnosili, że fundusz zapomogowy, pomimo podwyższenia go o miljon zł., nie wystarcza na istotne potrzeby.

Z sobotnich wieczornych dzienników, które zamieszczają biuletyny o rokowaniach większości z opozycją, wieje wietrzyk ugodowy. Żaden z dzienników nie zaprzecza, że zarówno rząd, jak i większość parlamentarna dokładają starań celem usunięcia obstrukcji.

Klub wiernokonstytucyjnej niemieckiej większej własności wydał następujący komunikat:

„Za pośrednictwem członków klubu wiernokonstytucyjnej większej własności prowadził br. Dipauli rokowania z opozycją o to, aby wniosek jego językowy dostał się na porządek dzienny obrad izby zaraz po załatwieniu wniosków o postawienie rządu w stan oskarżenia. Ponieważ br. Dipauli oświadczył, iż kluby prawicy spełnienie tego jego żądania łączą ze sprawą uchwalenia prowizorjum ugodowego, przeto rokowania br. Dipaulego z opozycją rozbiły się“.

Głosy prasy.

Rokowania br. Dipauli'ego z lewicą, jak wiadomo rozbiły się i stanowią teraz temat omawiany szeroko w pismach czeskich i niemieckich.

I tak *Narodni Listy* piszą, że prawica nie oponowała wnioskowi br. Dipaulego, pomimo, iż on był postawiony bez wiedzy większości, którą przykro dotknęło postępowanie tego posła.

Politik donosi, że lewica zgodziła się na przedłożenie wniosku językowego zaraz po załatwieniu sprawy oskarżenia ministrów, prawica jednak żądała od lewicy, aby ta umożliwiła przyjście do skutku prowizorjum ugodowego w drodze parlamentarnej, lewica jednak odmówiła.

(Telegramy „Dziennika Polskiego“).

Wiedeń 25. października. Po powrocie cesarza do Wiednia ma być podjęty ważny krok w celu usunięcia trudności parlamentarnych.

Wiedeń 25. października. *Vaterland* oświadcza, iż Dipauli będzie dalej prowadził swoje starania w sprawie językowej — nie przeciwko stronnictwom większości, ale bez nich.

Praga 25. października. *Narodni Listy* omawiają nieudane starania Dipauli'ego w sprawie porozumienia się z lewicą i piszą, że powróci on teraz z pogruchotanymi członkami na łono prawicy, która go przyjmie jak marnotrawnego a skruszonego syna.

Wiedeń 25. października. Komisja budżetowa postanowiła przejść do dyskusji szczegółowej nad wnioskami w sprawie nędzy.

Wiedeń 25. października. Jak słychać, ma prawica zamiar przeszkodzić imiennym głosowaniom w ten sposób, że na wniosek jednego z członków uchwali wszystkie petycje dołączać do protokołów.

Berno morawskie 25. października. P. Promber, postępowiec niemiecki, oświadczył że ustępuje z kierownictwa partji, że jednak pozostanie nadal członkiem wydziału krajowego.

TELEGRAMY „Dziennika Polskiego.“

Wiedeń 25. października. Minister spraw zewnętrznych hr. Gołuchowski wyjechał na sześć dni do swych dóbr w Galicji.

Budapeszt 25. października. Poseł do sejmu węgierskiego i publicysta polityczny Mikołaj Bartha, który jeszcze za czasów Wekerlego został skazany na sześć miesięcy więzienia za obrazę rządu, zaczął wczoraj odsiadywać karę, cesarz go jednak ułaskawił, wskutek czego natychmiast wypuszczono go na wolność.

Karlsruhe 25. października. Dziennik urzędowy donosi: Para wielkoksiążęca badeńska miała zamiar złożyć onegdaj parze carskiej wizytę w Darmsztadzie, wielki książę jednak otrzymał na zapytanie odpowiedź, iż car już rozporządził wszystkimi dniami aż do wyjazdu i dlatego pary wielkoksiążęcej przyjąć nie może.

Darmstadt 25. października. Para carska przyjmowała wczoraj kanclerza ks. Hohenlohe, który wziął udział w obiedzie dworskim.

Stambuł 25. października. Porta poleciła swym ambasadorom, aby robili energiczne przedstawienia u mocarstw przeciwko projektowanemu zamianowaniu pułkownika Schaefflera jeneralnym gubernatorem Krety, a natomiast forsowali kandydaturę turecką Kamphoevenera baszę.

Kanea 25. października. Admirał Canevaro oświadczył kilku członkom kreteńskiego zgromadzenia narodowego, iż sprawa kreteńska załatwiona będzie w przeciągu miesiąca i Kreteńczycy będą mogli korzystać z dobrodziejstw zupełnej autonomji.

Ateny 25. października. Przystąpiono do rozbrojenia całej floty wojennej greckiej w arsenale w Salomei postawienia jej na stopie pokojowej.

Wiedeń 25. października. Naczelnik urzędów pomocniczych w Tarnowie Jak Udrycki otrzymał z okazji przeniesienia go w stan spoczynku tytuł i charakter dyrektora urzędów pomocniczych.

Kontrolor poczt we Lwowie Józef Sękowski mianowany starszym kontrolerem.

Rzym 25. października. Wskutek oberwania się chmur powstały wielkie powodzie w prowincjach Ancona, Forli, Ravenna i Teramo. Szkody olbrzymie. Zapadło się wiele domów, mnóstwo mostów zerwanych. Dziesięć osób zginęło. Komunikacja przerwana.

Budapeszt 25. października. Z powodu ułaskawienia publicysty Bartha ma się minister sprawiedliwości Erdely podać do dymisji, obrażony o to, iż Banffy wyjednał u cesarza ułaskawienie po za jego plecyma.

Stambuł 25. października. Dotychczas przyjęte zostały wszystkie paragrafy ostatecznego traktatu pokojowego z wyjątkiem tego paragrafu, który omawia konwencję konsularną i traktowanie przez Turcję greckich poddanych, którzy po wypowiedzeniu wojny stracili dawne swe prawa. Delegaci greccy żądają, aby postanowienia 3—8 konwencji konsularnej były odroczone dla ich wystudjowania.

Tureccy delegaci sprzeciwili się temu, wskutek czego delegaci udali się dziś do ambasadorów, aby się z nimi naradzić co do tej różnicy zdań.

Madryt 25. października. W Hawanie przygotowano demonstracje na rzecz Weylera a przeciw rządowi madryckiemu. Weyler zatelegrafował jednak do Madrytu, że on zapobiegnie tym demonstracjom.

Jutro rząd hiszpański wręczy ambasadorowi amerykańskiemu notę, w której zaprotestuje przeciw temu, że rząd amerykański nie zapobiegł ostatniej ekspedycji partyzanckiej z Ameryki na wyspę Kubę.

Wiedeń 25. października. Firma „Bracia Hirsch“ która swymi modnymi towarami zalewała Galicję, ogłosiła niewypłacalność, podobno chwilową.

Lizbona 25. października. Wskutek przerwania się chmury, wykoleił się wczoraj rano osobny pociąg wiozący króla sjamskiego w Povoa niedaleko Santa Riva. Nikt nie został ranny, król przybył następnym pociągiem.

Z Izby handlowej i przemysłowej.

Lwów 25. października 1897 r.

I. Akcje za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 200 zł. m. k. 212·— do 215·—. Kolej Lwow.-Czern.-Jassy po 200 zł. w. a. w srebr. 285 50 do 280·—. Banku hipot. po 200 zł. w. a. 386·— do 396·—. Banku kred. galic. po 200 zł. w. a. —·— do 210·—. Garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200·— do 210·—. Fabryki wagonów w Sanoku przedtem Lipińskiego po 500 koron — 250 zł. w. a. 260·— do —·—.

II. Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% w. a. wylosowal. z 10% prem. 110·— do 110·70. Banku hipot. gal. 4½% w. a. los. w 50 lat 100·— do 100·70. Banku hipot. gal. 4% w. a. losów w 60 lat po 200 koron 96·60 do 97·30. Banku krajowego 4½% w. a. los. w 51 lat. 100·50 do 101·20. Banku krajowego 4% w. a. los. w 57 lat. 97·70 do 98·40. Tow. kred. galic. ziemsk. 4% (I. emisja) 97·80 do 98·50. Tow. kredyt. gal. ziem. 4% los. w 41½ lat. 97·30 do 98·—. Towarz. kredyt. galic. ziem. 4% los. w 56 lat. 96·70 do 97·40.

III. Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% w. a. 97·70 do 98·40. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% w. a. 102·50 do —·—. Kom. Banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·— do —·—. Komunalne Banku krajowego 4½% w. a. III. em. 100·10 do 100·80. Kolej. lokalne Banku kraj. 4% po 200 kor. 97·30 do 98·—. Pożyczki kraj. 6% w. a. 103·— do —·—. Pożyczki kraj. 4½% w. a. —·— do —·—. Pożyczki kraj. 4% w. a. z roku 1891 —·— do —·—. Pożyczki kraj. 4% po 200 koron — 100 zł. w. a. z roku 1893 97·80 do 98·50. Pożyczki 4% gminy miasta Lwowa 97·— do 97·70.

IV. Losy. Miasta Krakowa od 27·— do 29·—. Miasta Stanisławowa od 44·— do ·——.

V. Monety. Dukat ces. 5·63 do 5·73. Napoleon'dor od 9·48 do 9·58. Półimperjał 9·50 do 9·60. Rubel ros. srebrny 1·20·— do 1·25·—. Rubel ros. papierowy 1·27·— do 1·28·—. 100 marek niem. 58·60 do 59·10.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 25. października 1897 r.

HOTEL ZORZA. W. hr. Grocholska z Podola ros. M. br. Błażowski z Nowosiółki. R. Puzyna z Gwoździca. E. hr. Dzieduszycki z Izydorówki. W. Schnell z Starych Brodów. E. Głębocki z Filipowiec. R. Pragłowski, A. Tymieniecki z Paszawy. J. Rosenstock z Rusiatycza. F. Minkusiewicz z Dukli. R. Fischer z Chorzelowa. R. Schnel z Pasieczny. M. Latinek, L. Kriser z Wiednia. L. br. Herzogenberg. W. D. Hopp z Gródka. U. br. Berg z Rzeszowa. M. Perkinson z Londynu. R. Clogj z Ropienki.

HOTEL IMPERIAL ulica Trzeciego Maja l. 3 pierwszorzędny hotel restauracja i kawiarnia. B. br. Lippert z Wienerneustadtu. K. Springsfeld z Achen. Dr. W. Chrząszczewski z Sambora. E. Augustynowiczowa z Wo szczaniec. B. i J. Boguccy z Żywca. E. Ujejski, J. Angielski, F. Tursa z Rudek. A. Eustachewicz z Przemyśla. K. Leszczyński z Baranowa. Dr. K. Kirchmayer z Krakowa. Br. A. Peride z Jas. S. Rosicki ze Schodnicy. H. Helman z Wiednia.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

(33)

CÓRKA TRONU.

HISTORJA WSPÓŁCZESNA.

przez

ZOFJĘ ADELAJDĘ,

Z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

Jako wdowa po hrabi Lenzu, nie doznałam żadnych przeszkód w wstąpieniu w powtórny związek małżeński. Dopiero po ślubie jednakże uwiadomiłam o nim z całym szacunkiem księcia Edwarda, wyjaśniając mu również powody, które mnie do tego skłoniły. Książe odpowiedział mi z całą dobrocią, robiąc mi wyrzuty za brak zaufania i zapewnił mnie, że nigdy nie było jego zamiarem zamykać mnie w klasztorze, a tembardziej wbrew mojej woli. Życzeniem jego było mieć mnie przy sobie i po śmierci hrabiego Lenza, i gorzko żałował nieporozumienia, jakie zaszło pomiędzy nami. Obwiniał siebie, że oddalił mnie ze zbytnią surowością może, i robił sobie wyrzuty, że stał się pierwszy powodem wszystkich nieostrożności, jakie popełniłam. Nakoniec, przebaczając mi, w czułych wyrazach prosił o przebaczenie dla siebie.

List ten serdeczny i czuły zerwał mi niejako zasłonę z oczu. Okrywałam go pocałunkami, płacząc rzewnie. Niestety! był to ostatni list, jaki od ojca dostałam. W miesiąc później *Daily Gazette* obwieściła Finlandji śmierć księcia Edwarda.

Wiadomość ta przepełniła mnie nietylko rozpaczą, ale i wyrzutami sumienia. Straciłam ojca, zanim mogłam go uścisnąć i odebrać z rąk jego ostatnie błogosławieństwo. Wyrzucałam sobie moje szaleństwo, nie pojmując, jak mogłam mu tak nie ufać i posądzać go o jakieś wrogie zamiary względem mnie, tego ojca, który mnie tak bardzo kochał!

Zaczęła mnie prześladować straszna myśl, czy też moja niewdzięczność i nieposłuszeństwo nie przyczyniły się do choroby, która następnie sprowadziła śmierć tego ojca tak kochającego i tak przezemnie ukochanego, a zapoznanego!?

XXXVIII.

Mój mąż.

Pan G. de L., mój mąż, ponieważ muszę tak go nazywać, pozostawiał mi zupełną swobodę Wiedział o tem, że wysoka pensja, której źródło wypływało z tajemnic rodzinnych, była mi regularnie wypłacana. To też dzielił ją ze mną bez skrupułów. Był to raczej zawiadowca mych spraw majątkowych, aniżeli mąż. Nie pytał mnie nigdy o nic i wcale nie był ciekawy dowiedzieć się, jaką była moja przeszłość lub stosunki rodzinne.

Byłam mu wdzięczną za oddawane mi usługi, i żyliśmy dość dobrze ze sobą, chociaż stosunek nasz pozbawiony był jakiejkolwiek żywszej sympatji. Jakże byłabym szczęśliwą, gdyby starał się był poznać mnie lepiej, z zajęciem zapytał mnie o życie moje i tajemnicę, gdybym była w nim ujrzała choć cień tego przywiązania i miłości, jakiemi mnie otaczali Anna i hrabia Lenz! Z początku łudziłam się, że lody owe pękną z czasem, niestety! Lata mijały, a stosunek nasz w niczem się nie zmieniał. Skończyło się na tem, że w panu L. widziałam wyłącznie tylko przyjaciela uczciwego i szczerego, ale i egoistycznego zarazem.

Upodobanie do podróżowania stało się już moją drugą naturą, a jednak zaledwie wyjechałam, już wzdychałam do powrotu. Byłam jak ten marynarz z opowieści arabskiej, który w każdej podróży przez los prześladowany i na straszne wypadki i nieszczęścia narażany, zaledwie powróci do domu, już tęskni do nowych przygód i walk z niebezpieczeństwami.

Mąż mój z chęcią towarzyszył mi w podróży do Ameryki, gdyż pragnął zobaczyć okolice i miasta, które niegdyś przebywałam w towarzystwie hrabiego Lenza i lady Anny. W tym właśnie czasie dowiedziałam się z dzienników o śmierci króla Leopolda, którego tak szczerze kochałam, i o wstąpieniu na tron księcia Wilhelma.

Wiadomość ta bardzo mnie zmartwiła. Król Leopold był młody jeszcze Miałam zamiar odwiedzić go, i przypomnieć mu przyjaźń, jaką mnie zaszczycał w dzieciństwie. Monarcha ten, który okazywał mi tyle życzliwości i dobroci, zeszedł z tego świata: pozostawałam powoli sama, tracąc drogie mi osoby jednę po drugiej. W królu Leopoldzie jednakże traciłam jednego z najpewniejszych protektorów. Było w tem trochę mojej własnej winy, to też płakałam za nim i nad sobą. Nieszczęsna nieśmiałość, a właściwie jakiś dziwnie niezdecydowany charakter powodował, że z dnia na dzień odkładałam wykonanie wszystkich moich projektów. Miałam zamiar udać się do króla Leopolda zaraz po śmierci księcia Edwarda, mego ojca, i widocznie niebo mnie tą myślą natchnęło. Mąż mój byłby mi towarzyszył bez wahania: ja zaś pod różnymi pretekstami, którymi pokrywałam moje lenistwo, głupio odwlekałam tę podróż. Teraz już było za późno! Pozostawało mi tylko wznosić gorące modły do nieba za duszę króla, który mnie tak szczerze kochał.

Pocieszałam się później myślą, że po powrocie do Europy udam się do księcia Wilhelma, ale i tym razem brak stanowczości stanął na przeszkodzie. Znałam księcia, będąc jeszcze bardzo młodą i obawiałam się, że po tylu latach nie pozna mnie, nie przypomni mnie sobie. Myśl ta była dostatecznym powodem do powstrzymania mnie od tego kroku.

Byłam już dziewięć lat zamężną, gdy nagle życie hulaszcze i rozrzutne mego męża skłoniło mnie do zerwania z nim. Mogłam oskarżać go tylko o lekkomyślność, ale są prócz tego pewne niewłaściwości, które ranią uczucia kobiety wrażliwej na równi z największem przewinieniem. Pan de L. nie starał się mnie ani przeprosić, ani powstrzymać. Rozeszliśmy się spokojnie; zostawiłam go w Ameryce, a sama wróciłam do Francji, gdzie żyłam długo sama i swobodna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozkład jazdy pociągów kolejowych dla miasta Lwowa,

wedle czasu środkowo-europejskiego późniejszego o 36 minut od czasu lwowskiego, ważny od 1. października 1897 r.

przychodzi do Lwowa:

Pociąg	godzina	
osobowy	7·30	z Suczawy i Czerniowiec
„	7·50	z Janowa
„	7·52	z Tarnopola i Brodów na Podzamcze
„	8·05	ze Stryja i Ławocznego
„	8·15	z Tarnopola i Brodów na dworzec główny
„	8·25	z Sokala i Rawy ruskiej
„	9·10	z Krakowa w połącz. z Chyrowem
„	10·35	z Jarosławia
„	1·15	z Janowa
pospiesz.	1·30	z Krakowa w połączeniu z N. Sączem, Zagórzem, Chyrowem i Rawą
osobowy	1·40	ze Stryja i Ławocznego w połączeniu z Chyrowem i Stanisławowem
pospiesz.	1·50	z Suczawy i Czerniowiec
„	2·15	z Podwołoczysk na Podzamcze
„	2·30	z Podwołoczysk i Brodów na dworzec główny
osobowy	5·25	z Bełzca w połącz. z Sokalem i Jarosławiem
„	5·35	z Podwołoczysk i Brodów na Podzamcze
„	5·45	z Czerniowiec
Noc		
osobowy	[illegible]	z Podwołoczysk na dworzec główny
„	6·55	z Krakowa w połącz. z Rozwadowem
„	8·49	z Brzuchowic tylko od 1/7 do 28/8 włącznie
pospieszny	8·45	z Krakowa, Jasła, Sanoka
osobowy	9·10	z Suczawy i Czerniowiec
„	9·30	z Krakowa w poł. z N. Sączem i Rawą
pospieszny	9·50	z Suczawy i Czerniowiec
„	9·48	z Podwołoczysk i Brodów na Podzamcze
„	10·—	z Podwołoczysk i Brodów na dworzec gł.
osobowy	10·20	ze Stryja w poł. z Chyrowem
„	12·10	z Ławocznego, Stryja, Kałusza
„	3·04	z Podwołoczysk na Podzamcze
„	3·30	z Podwołoczysk na dworzec główny
pospieszny	5·10	z Krakowa w poł. z N. Sączem, Jasłem i Chyrowem

odchodzi ze Lwowa:

Pociąg	godzina	
pospiesz.	6·—	do Podwołoczysk i Brodów z dworca główn.
„	6·10	do Czerniowiec i Suczawy
„	6·15	do Podwołoczysk z Podzamcza
osobowy	6·45	do Czerniowiec i Suczawy
pospiesz.	8·40	do Krakowa, Rozwadowa, Orłowa przez Tarnów
osobowy	8·50	do Janowa
osobowy	8·55	do Krakowa w połącz. z N. Sączem
„	9·20	do Skolego, Kałusza, Chyrowa
„	9·25	do Bełzca w połącz. z Sokalem i Jarosławiem
„	10·05	do Podwołoczysk i Brodów z dworca główn.
„	10·27	do Podwołoczysk i Brodów z dworca Podzamcze
„	10·45	do Czerniowiec i Suczawy
pospiesz.	1·55	do Podwołoczysk i Brodów z dworca główn.
„	2·08	do Podwołoczysk i Brodów z dworca Podzamcze
pospiesz.	2·40	do Suczawy i Czerniowiec
pospiesz.	2·50	do Krakowa w poł. z Rawą i Chyrowem
„	3·05	do Stryja
„	4·40	do Jarosławia
Noc		
osobowy	6·45	do Krakowa i Pesztu
„	7·05	do Sokala i Rawy ruskiej
osobowy	7·25	do Tarnopola z dworca głównego
„	7·30	do Stryja i Ławocznego, Kałusza, Chyrowa
„	7·47	do Tarnopola z dworca Podzamcze
„	7·48	do Janowa
„	10·30	do Czerniowiec i Suczawy
pospieszny	10·50	do Krakowa w połącz. z Jasłem, Rozwadowem i N. Sączem
osobowy	11·—	do Podwołoczysk i Brodów z dworca gł.
„	11·27	do Podwołoczysk, Brodów, Kopeczyniec, Husiatyna z dworca Podzamcze
„	4·40	do Krakowa w poł. z Chyrowem, Jasłem, Rozwadowem i N. Sączem
„	5·20	do Stryja, Ławocznego i Chyrowa

UWAGA. Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut, a mianowicie 12 godz. w czasie środkowo-europejskim = 12 godz. 36 min. czasu lwowskiego. Nocne godziny od 6·00 wieczór, do 5·59 rano objęte są **ramkami.** Biuro informacyjne c. k. kolei państw. przy ulicy 3 Maja w Hotelu Imperial udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy w formacie kieszonkowym.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni K. Budweisera pod zarządem Ludwika Ringla.